



Andrzej Dąbrowski

część II z II

Sygnatura notacji: **N1284**

Data urodzenia: **04.02.1950 r.**

Data nagrania: **26.07.2018 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 59 min, część II: 52 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Andrzej Józef Dąbrowski: Audycje były nagrywane, tak jak powiedziałem, najpierw dwa razy w tygodniu i potem raz w tygodniu, dlatego że jak nastąpiły rozmowy Okrągłego Stołu, które, jeśli dobrze pamiętam, zaczęły się we wrześniu osiemdziesiątego ósmego roku, to mniejsze już było zapotrzebowanie, a poza tym była dezinformacja, jeśli chodzi o wiadomości różne i o fakty. Czekano się na to, żeby to się wyklarowało, tak, żebyśmy podawali słuchaczom rzeczy sprawdzone. Nagrywała, jak wspominałem, Zofia Sikorska, która czasem przychodziła z synkiem, ale także, jak ona nie mogła przyjść, byli inni akustycy: rzeczony wcześniej Wojtek Brojer, który już wyszedł z internowania, a miał przygotowanie elektroniczne, nagrał kilkanaście audycji, a później, kiedy on nie mógł, to przychodził też doktor z Politechniki Warszawskiej z Wydziału Elektroniki, Krzysztof Zamyjski i on nagrywał to. Lektorami początkowo była Maria Dłużewska, pierwsze dwie czy trzy audycje, a później wyjechała do Stanów, na jej miejsce przyszedł aktor z Teatru Popularnego, Janusz Leśniewski, on nagrywał audycje na zmianę z innym aktorem też z tego samego teatru, Stanisławem Biczysko. Trochę taka była sytuacja dla nas surrealistyczna, ponieważ Stanisław Biczysko był synem generała o tym samym nazwisku, bardzo antysolidarnościowym. No i oni nagrywali audycje, pokornie przyjmowali moje uwagi, nawet wtedy, kiedy prosiłem, żeby nieco inaczej akcentowali albo żeby coś akcentowali mocniej, a kiedy oni nie mogli przyjść, to po prostu ja musiałem być lektorem. Takie sytuacje się zdarzały, bywało, że obaj jakby obawiali się, że są namierzeni i trzeba było rozrzedzić te ich udziały w audycjach. Tak to wyglądało, jeśli chodzi o stronę techniczną. Zastaniało się okna, na szczęście miałem takie firanki przepuszczające światło, tak że nie było takiej ciemności zupełnej, więc to, jeśli chodzi o nagrywanie. Przerwy muzyczne były w postaci piosenek Kaczmarskiego, Kelusa, Gintrowskiego, Marka Sikory, który był dostępny stale, co tydzień coś nowego śpiewał i przysyłał nam swoje nagrania, myśmy też z tego korzystali, ale także nagrania wcześniejsze, w zależności od materiału informacyjnego. Reguła była taka,

że ostatnia wiadomość miała być tak zwanym michałkiem, czyli coś, co rozśmieszało, więc to albo był fragment wiersza, albo jakiś dowcip, albo anegdota, albo jakiś fragment śmiesznego wywiadu z kimś, tak żeby to jednak zamykać optymistycznym akcentem. „Mury, mury runą”, to było obowiązkowe na zakończenie, a chyba sygnałem takim rozpoznawalnym na początku to była „Siekiera, motyka...” i tak dalej. To tak z grubsza wyglądała ta ramówka. Ponieważ planujemy też spotkanie z małżeństwem państwa Brojerów, już trochę pan o nich mówił, ale może jeszcze coś by panu do głowy przyszło ciekawego z ich działań – to, o czym pan wie, co pan zapamiętał, co pan chciał nam przekazać? Wojtek był bardzo zaangażowany i od razu się zgłosił sam, jak powstał „Tygodnik Solidarność”, po prostu zgłosił swoją kandydaturę. Nie miał doświadczenia dziennikarskiego ani redaktorskiego, niemniej Mazowiecki go przyjął i on pracował w dziale interwencji, podchodząc do tego niesłychanie misyjnie, czyli jeździł w najdalsze zakątki Polski, żeby tam wyjaśniać jakieś sprawy czy zorientować się, w jaki sposób „Solidarność” za pomocą „Tygodnika Solidarność”, ale „Solidarność” jako organizacja, jako związek zawodowy może pomóc, i robił to z nieprawdopodobnym zupełnie oddaniem do czasu wprowadzenia stanu wojennego. Stan wojenny był szokiem, bardzo pomagał w chowaniu tych dokumentów i bardzo mu zależało, żeby na miejsce zawieszono „Tygodnika Solidarność” powstało coś innego, więc razem z Janem Doktorem wspomnianym przeze mnie i swoją koleżanką z „Tygodnika Solidarność” Stanisławą Domagalską ostro szukali możliwości utworzenia nowego tygodnika. Prawdopodobnie były też inne osoby, ale ja miałem kontakt głównie z nimi. Ewa natomiast wychowana w niesłychanie patriotycznym domu, córka powstańca warszawskiego Stanisława Arczyńskiego, a później po wojnie profesora na Wydziale Pojazdów na Politechnice Warszawskiej, bardzo też była w to mocno wciągnięta i kiedy przyszła rewizja... Aha, było kilka spotkań, co robić i jak stworzyć, odbyło się u nich w mieszkaniu przy ulicy Ordynackiej, i tam się pojawiła wprowadzona przez Piotra Rachtana, też kolegę, z „Tygodnika Solidarność” osoba, której nazwiska nie pamiętam, być może się nie przedstawiała, ale pseudonim był Sizigmintus, i parę dni później, w noc sylwestrową, kiedy mieliśmy się bawić na Sylwestra na ulicy Ordynackiej – bawić to trochę nadużycie, no bo stan wojenny, to nie za bardzo nam było tak znowuż wesoło – przyszła Służba Bezpieczeństwa, wściekła, że muszą tego dnia to właśnie zrobić, bo sami też się rychtowali na zabawę, no i na początku jak mają jakieś bibuły tajne, dokumenty, to żeby od razu sami wydali, bo: „Panom się spieszy, a wam się też pewno spieszy”, no ale nie mieli, natomiast zabrano maszynę do pisania jedną czy drugą, która nie była trefna, bo chyba nic na niej nie powstało takiego, co mogłoby wskazywać na działalność Ewy i Wojtka, natomiast w pewnym momencie kiedy nie mogli niczego znaleźć, a musicie panowie wiedzieć, że tam były dziesiątki tysięcy książek, w związku z tym zajrzenie do tych książek, prawda, że ewentualnie coś tak rozwścieczała ta konieczność Służby Bezpieczeństwa, że gotowa była już na wszystko, i w pewnym momencie kończąc już rewizję, zajrzeli bezczelnie do damskiej torebki Ewy i tam była ulotka jedna czy dwie i na tej podstawie aresztowano Ewę i wyprowadzili też Wojtka. Ojciec Wojtka, docent Zbigniew Brojer, wybitny chemik z Instytutu Chemii, wynalazca żywicy epoksydowej, dostał parę dni później zawału. Byli najpierw w Pałacu Mostowskich, tam się dowiedzieli, że święty Piotr nie zawsze przynosi dobre wieści, stąd było przypomnienie Piotra Rachtana, który wprowadził tego „Sizigmuntusa”, który oferował jakieś usługi polegające na tym, żeby spisywać nagrania z zachodnich i tłumaczyć na język polski – to była jego propozycja, i tak ich rozdzielono, to małżeństwo – Ewa wylądowała na Olszynie Grochowskiej, Wojtek w Białołęce. Oni właściwie nie mieli ze sobą kontaktu dlatego, [mimo] że przysługiwała im możliwość pisania listów, ale tych listów im nie doręczano, i gdyby nie wizyty ojca Wojtka Brojera oraz państwa Arczyńskich przysługujące raz na miesiąc i grypsy, akurat Stanisław Arczewski miał doświadczenie w grypsach, to oni by nie wiedzieli niczego o sobie. Mało tego, podczas kolejnych jakichś przesłuchań i nakłaniania do podpisania tego i owego, rzucano podejrzenie, takie prymitywne akurat, w od-

niesieniu do dzisiaj pani profesor Ewy Brojer, a do późniejszego, prawda, doktora Brojera, były takie: „A czy pan jest pewien, jak się prowadzi pana żona?”. To było zupełne niewyczucie jakby, z kim się rozmawia, ale jeden z oficerów przesłuchujących w Jaworzu Wojtka zapytał: „No, pan się tym diabłem zajmuje, a widział pan diabła? Czy on jest?”, no to mu Wojtek odpowiedział: „No tak. Teraz chodzą w mundurach. Przyglądam się panu coraz uważniej”. To były takie smaczki. Tak że oni się dopiero zobaczyli rzeczywiście, jak Wojtek wyszedł na przepustkę, bo jego ojciec dostał kolejnego zawału i jakoś już z tej przepustki nie musiał wracać, bo tym ojcem się trzeba było zajmować, tak że wyszedł chyba z końcem października albo z początkiem listopada, Ewę natomiast trzymano do końca. Za każdym razem na różnych takich przesłuchaniach mówiono, że ona właściwie siedzi tu nie wiadomo po co, bo nie ma żadnych zarzutów, nic jej nie udowodniono, poza tymi dwiema czy jedną ulotką w damskiej torebce, i to taka nieduża, ona mogła powiedzieć, że podniosła z ulicy, no bo każdy by podniósł, bo ciekawy, nie? I tak mówiono jej za każdym razem, żeby już się pakowała i wyjechała jako jedna z trzech ostatnich. Prymas interweniował, Instytut Hematologii w postaci profesor Żupańskiej, która była osobą nie tyleż zasłużoną dla tej hematologii, ile dobrze zorganizowaną, to podkopu by pod więzieniem dokonała, byleby się zobaczyć pod hasłem, że musi konsultować ze swoją panią doktor wyniki badań naukowych, omawiać i tak dalej, i ona żąda widzeń, i utrzymywała te widzenia, ale mimo to nie pomagało to w zwolnieniu Ewy, której mówili, że ona jest tu właściwie za nic i niepotrzebnie tu zmarnowany czas, więc takie były metody, jeśli chodzi o nich. Później Wojtek się angażował w różne akcje, Ewa trochę mniej, ale już nastał czas taki, że odpadała Ordynacka, żeby tam coś zawiązywać czy robić w sensie drukowania, czy jakichś akcji dłuższych. Nastał taki czas, żeby już kompletnie nie mówić, co się robi, że im mniej informacji nawzajem, tym lepiej, ale cały czas byli w działaniu solidarnościowym, pomagali w akcjach drukowania na Jelonkach, bo zamieszkali na tak zwanych Jelonkach profesor-skich i tam oni są świetnie zorientowani po latach, kto co na tych Jelonkach robił. Wojtek był między łącznikiem a innymi działaczami na tej ulicy Jagiellońskiej, po wyjściu zatrudnił się w Instytucie Sztuki w dziale gromadzenia książek i był świetnym pracownikiem, i tam też próbował coś założyć, tak że właściwie go trzeba odpytać, bo ja już przyjąłem takie założenie, że im mniej będę wiedzieć nawet o swoich najbliższych przyjaciółach, tym lepiej, ale oni też [uważali], że trzeba zmniejszyć tę ilość informacji, którą możemy utrzymywać w mózgu. Ja zostałem złapany w Elblągu, ponieważ Timothy Garton Ash miał swoją taką asystentkę, która przyjeżdżając do Polski, przywoziła mi jakieś informacje o tym, jak solidarnościowe sprawy wyglądają w Anglii i na zachodzie Europy, a odbierała ode mnie całe reportaże, fotoreportaże i jednocześnie przywoziła pomoc taką w postaci herbaty, kawy dla solidarnościowców i domów dziecka najbardziej potrzebujących, bo bardzo wspierała te domy dziecka, no ale jednocześnie ze mną jeździła, żeby jej pokazywać te miejsca, gdzie się coś dzieje, żeby ona to zobaczyła na żywo, że tak powiem, no i pojechaliliśmy do Elbląga, 3 maja tam była akcja. O Elblągu się bardzo [dużo] mówiło, więc wziąłem sobie na ambit, żeby zobaczyć, jakie tam są akcje i jak się wspomina stoczniovców z siedemdziesiątego roku, bo tam był odsłonięty pomnik. Jak dojechaliliśmy, to byłem bardzo zbudowany, dlatego że pod pomnikiem były uroczystości, gdzie były tysiące ludzi, i to młodych ludzi, no i w pewnym momencie tych młodych ludzi zaczęto wyłapywać i odwozić na komendę. Kiedy myśmy stali i oglądali to, myślę, że może nawet robiłem zdjęcia jakoś tak i kiedy wyjeżdżaliśmy z miasta, to zostaliśmy zatrzymani przez milicję i skierowani na komendę z powrotem. Ją wzięto na przesłuchanie szybciej. Myśmy byli przygotowani na taką sytuację, więc mieliśmy udawać zakochanych, że jesteśmy parą kochanków i ja pokazuję osobie, która mnie kocha, bo to tak było ustawione, Polskę, której ona nie zna, no i się tego trzymaliśmy. Jak czekałem na korytarzu na swoje przesłuchanie, to widziałem strasznie traktowanych tych młodych ludzi, ściąganych z tego wiecu, tak że to jest moja przygoda z Elblągiem, no i po iluś godzinach przesłuchiwania tej Elżbiety, Elizabeth, zabrano się za mnie – co ja

robię, po co ja tu w Elblągu jestem, a ja miałem taki sposób, że jak jechałem do nowego miasta i miałem tę legitymację zaspowską, to się najpierw meldowałem w teatrze i głośno, i wyraźnie mówiłem, jak się nazywam, pokazywałem legitymację i [mówiłem, że] ja przyjeżdżam w poszukiwaniu pracy, bo jestem reżyserem, słyszałem, że tutaj jest zainteresowanie młodymi reżyserami, a nuż bym się przydał. Jak nie było dyrektora, bo zazwyczaj mnie przyjmował, to sekretarka, żeby zapamiętała, no i powiedziałem, że byłem w teatrze, zawsze się meldowałem w teatrze, a potem szedłem do punktów, które mnie interesowały. W Trójmieście tak zawsze się meldowałem w Teatrze Wybrzeże u dyrektora Stanisława Michalskiego, który, żeby było pikantniej, był członkiem Komitetu Centralnego i który, żeby było pikantniej, bardzo walczył, żeby wszystkich pozwalniać, łącznie z Haliną Winiarską i Jerzym Kiszkiem, którzy byli internowani pod hasłem, że on nie może teatru prowadzić, bo przecież nie ma części aktorów. To tak w ten sposób działał. Do Krakowa jak przyjeżdżałem, meldowałem się w Teatrze Bagatela albo w Teatrze Słowackiego, tak żeby jak gdyby coś, to było, że ja tu przyjechałem służbowo, a przy okazji rozglądam się, zwiedzam. Chodziłem po antykwariatach, podróżowałem też z pieskiem często, żeby nie wzbudzać podejrzeń, zwłaszcza jak miałem do przewiezienia metryce albo takie trefne materiały, które przewoziłem między innymi w parasolu, to brałem tego pieska, bo z pieskiem takim niedużym, pudelkowatym, się na wszystko wygląda, ale nie na [podejrzanego], tak że piesek był bardzo sympatyczny, przykuwał uwagę. No więc w tym Elblągu powiedziałem, że w teatrze, że się zameldowałem, no to [powiedzieli], że sprawdzą. Sprawdzili: „Aha, ale my sprawdzimy w ogóle, kim pan jest”, no i mi tutaj zmieniali cztery razy przesłuchującego. Ostatni przesłuchujący był bardzo kompetentny w sprawach teatralnych. Jak się sam przedstawił, doktorat na tym zrobił i imponował mi encyklopedyczną wiedzą na mój temat oraz co ja robiłem, że: „Tutaj, proszę pana, jak by pan z nami współpracę nawiązał, bo interesuje się panem Teatr Współczesny w Szczecinie, jest pan jednym z kandydatów. My moglibyśmy pomóc” i gdybym ja udzielił jakichś informacji i tak dalej, tak że bywało tak, że ci przesłuchujący bywali kompetentni, owszem, i popisywali się jeszcze wiedzą z historii teatru i jednocześnie z mojej [działalności] w teatrze i okolicach. Niczego nie udowodniono, choć poprzednicy tego pana od teatru chcieli mnie zrobić w szpiegostwo, że ta pani jest szpiegiem, a ja jej pomagam, że jeździmy po Polsce i szpiegujemy, no i że ja dostanę wyrok, ale pomyślałem sobie, że dosyć trudno to im będzie udowodnić, chociaż wszystko mogli, no i się roześmiałem, a potem jak były te [dalsze przesłuchiwania], to dostałem jakiegoś nerwowego ziewania. Zadał pytanie, to tak ziewałem, tak udawałem, że mnie to tak nudzi, ale jednocześnie miałem potrzebę ziewania, że oni też ziewali i w pewnym momencie się zrobiła sytuacja nudna dla obu stron. Tym sobie, jak się okazało, pomogłem, niemniej czekając na przesłuchanie, bo potem z tego korytarza zabrali mnie do takiego pokoju bez okien, przypomniałem sobie, że mam coś zanotowane na jakimś zwitku pergaminu. Połknięcie tego pergaminu w tej sytuacji, wepchnięcie sobie tutaj, to było jedno z takich najbardziej przykrych [doświadczeń], bo pergamin się nie roztopia, tylko trzeba było to jakoś tam przełykać, ślinę wydzielać. Jak na złość tej śliny mało, ja sobie palcem wpychałem, ale bałem się, że będę miał zaraz wymioty, więc to był taki mały koszmarek, ale udało mi się to jakoś. Niczego nie udowodniono, ale kazano nam natychmiast opuścić Elbląg, w moim wypadku bez prawa powrotu, że: „Miasto pana nie życzy sobie tutaj, nawet jako reżysera” – to coś takiego mi powiedziano. To jedna z takich moich przygód, no i raz miałem ogon złapany w Hucie, w późniejszym okresie, kiedy Halina Bortnowska wyszła za mąż i przeprowadziła się do Warszawy. Moim takim kontaktem na Hutę była Anna Luberacka, młoda osoba, chyba robiąca z czegoś doktorat. Czasem organizowała mi noclegi, oraz u niej był też taki punkt, taka skrzynka kontaktowa, gdzie widywałem młodych działaczy z Małopolski. Któregoś razu gdzieś po jakiejś akcji, kiedy fotografowałem, wydawało mi się, że mam ogon i wskoczyłem do taksówki, żeby po prostu uciec, no i jechał ktoś za nami, taksówkarz się zorientował. Ja w pewnym momencie wskoczyłem, już w Krakowie,

[na] obecnej [ulicy] Królewskiej, nie pamiętam, jak się ta ulica przedtem nazywała, bo miałem zaprzyjaźniony dom, gdzie się zatrzymywałem na noc na nieświadomość jednego z redaktorów „Tygodnika Powszechnego”, którego bardzo lubiłem z wzajemnością. Przygotowałem pieniądze, rzuciłem taksówkarzowi, wyskoczyłem i wskoczyłem do klatki schodowej, zatrzaskawszy za sobą drzwi i stałem na tej klatce, żeby on nie widział, bo to był późny bardzo wieczór, prawie noc, ewentualny ogon, w których oknach się zapalał światła, i dopiero wtedy zadzwoniłem, tak że to taka z przygód takich troszkę tego, ale na szczęście nie było ich więcej. 30 czerwca tego roku w „Kurierze Plus” napisał pan takie ważne zdania: „Mam dwie dusze: warszawską i nowojorską. W Nowym Jorku czuję się jak w Warszawie, a w Warszawie jak w Nowym Jorku – tu i tam jestem u siebie”. Prosiłbym, żeby pan jeszcze raz powiedział, w jakim kontekście i jak doszło do tego, że pan do tego Nowego Jorku wyjechał i że pan zdecydował się tam zostać, o swojej pracy, o swojej działalności tam publicystycznej i innej, gdyby o tym Nowym Jorku pan uprzejmy był po prostu opowiedzieć, również z uwzględnieniem tego, co znalazłem w jednym z wywiadów przeprowadzonych z panem – mówił pan o tym, jak słabo środowisko polskie konsumuje ofertę kulturalną. Tak. Winowajcami głównymi, dlaczego się znalazłem w Nowym Jorku, jest Grzegorz Eberhardt wspomniany, późniejszy autor świetnych książek o Józefie Mackiewicz, no i ciekawy publicysta „Tygodnika Solidarność” w nowej postaci, przechodzący z biegiem lat, z biegiem dni na pozycje coraz bardziej prawicowo-konserwatywne, ale to później, oraz jego ówczesna partnerka życiowa, a późniejsza żona, Majka Ślaska, która też dla „Solidarności” robiła sporo i niedawno została odznaczona medalem Wolność i Solidarność, niedawno jest wprowadzony, więc też osoba, myślę, że godna odpytania. Ona była w Nowym Jorku wcześniej i kiedy było, że prawdopodobnie jesteśmy namierzeni, takie informacje przynosił właściciel Radia Andrzej Federowicz, ciągle nie było wiadomo, co znaczy to „prawdopodobnie” – czy ten pan, który jest rzekomo wtyką naszą w Służbie Bezpieczeństwa, działa tylko na naszą stronę, czy działa na dwie strony? I mówił, żebyśmy się przygotowali, że trzeba będzie zniknąć i rozważyć taki wariant, że może przeszkolimy kogoś innego, że jeśli nas wyłapią, to my siedzimy przykładnie w więzieniu, a radio gra dalej, czyli nie ma żadnej gwarancji, że to myśmy to radio do tej pory prowadzili. Niemniej to się zbiegło z zaproszeniem Grzesia i Majki: „Jesteśmy, przyjeźdź”, no i ja postanowiłem skorzystać, bo tak jak powiedziałem, że przedtem było zaproszenie od Timothy’ego Gartona Asha, ale że Londyn jakoś jest bliżej, to zdążę, a Nowy Jork może mi przepaść jako też bardzo atrakcyjne miejsce dla człowieka znającego wiele książek o Nowym Jorku, wiele filmów i reżysera, no to wybrałem ten Nowy Jork i tak się [tam] znalazłem, korzystając z pomocy Grzegorza i Majki, którzy mi tam wynajęli mieszkanie, zadbali o to, żebym miał wikt i opierunek przez pierwsze tygodnie pobytu, no i szybko się miałem jakiejś pracy, żeby zwrócić długi zaciągnięte na podróż oraz nie korzystać już dalej z pomocy Majki i Grzesia, tylko samemu stanąć na nogi. Jednocześnie znaleźli się tam państwo Brojerowie, ponieważ Ewa Brojer dostała stypendium z Instytutu Hematologii w Milwaukee, robiła coś takiego w Warszawie, czym się interesował instytut tamtejszy i po prostu ją ściągnął na dwuletnie stypendium, no więc pojechał z nią także Wojtek i córeczka. Myśmy sobie tak jakoś złożyli, że jeśli ja przetrwam pierwszy rok i oni przetrwają tam pierwszy rok w tej nowej zupełnie rzeczywistości – to był nieprawdopodobny skok cywilizacyjny, jednak wszystko było inne – to pojedziemy w podróż metodą od oceanu do oceanu i z powrotem wynajętym samochodem. To był ten pierwszy cel. Ja postanowiłem, ponieważ tutaj zarabiałem nawet nieźle jako reżyser, ale nie na tyle, żeby podróżować, a chciałem zrobić przyzwoity grób rodzicom, kupić sobie przyzwoity gramofon, bo miałem wspaniałą płytotekę, że tam pozarabiam, no i jednocześnie byłem też ciekaw Nowego Jorku, tak że jak powiedziałem, miałem się różnych prac, także w restauracji, prac nocnych, i w pewnym momencie stało się coś takiego, że umęczony strasznie, bo ja nigdy przecież w Polsce nie pracowałem fizycznie, a tam musiałem się mieć tego typu prac, nad ranem, pamiętam, wyszedłem w noc świętojańską

nad Hudson i ten tłum szczęśliwych, roześmianych, rozluźnionych ludzi tak mnie jakoś ogarnął, że ja w pewnym momencie, w tym zmęczeniu tak włączyłem się, wchłaniałem tę ich szczęśliwość, fałszywą czy nie fałszywą, czy naprawdę są szczęśliwi tego nie wiem, w każdym razie roześmiani – najkrótsza noc to trzeba być razem, taka karnawalizacja życia i karnawalizacja w ogóle życia na Manhattanie, gdzie pracowałem i gdzie wkrótce zamieszkałem. To mnie wciągnęło. Kiedy pozarabiałem już trochę pieniędzy, odbyłem tę podróż z Ewą i Wojtkiem Brojerami, potem zarobiłem pieniądze na ten grób rodziców i na gramofon, później zarobiłem pieniądze na to, żeby nie mieszkać we wspólnocie na Wiejskiej, tylko coś sobie odrębnego kupić, chciałem wyjechać, no i wtedy redaktor naczelny i współwłaściciel „Nowego Dziennika”, bo nawiązałem współpracę z „Nowym Dziennikiem” jako publicysta, zaproponował [mi] i mówi: „A wie pan, to niech pan nie wyjeżdża, bo ja mam dla pana propozycję: zostanie pan redaktorem działu polskiego w zamian za Zieloną Kartę. Co pan na to?”. A ja już tu się rychtowałem do powrotu, no i dzwonię się radzić tych ludzi z „Solidarności”, między innymi Ewą i Wojtką i innych, mówią: „Słuchaj, to jak ci proponują, to weź, bo to nie wiadomo, czy to się utrzyma. Ten Gorbaczow to taki zmienny jest, niech nasi mają tę Zieloną Kartę, bo potem będziesz jeździć po sprzęt radiowy. To trzeba praktycznie do tego podejść, poświęć się”, no i ja niczym ta Maria Walewska przyjąłem tę propozycję. Traciłem na tym finansowo, bo jak Zielona Karta, to mi płacili głodowe, jak zresztą innym redaktorom też, i tak miałem o 50 dolarów więcej, więc jak wszedłem do redakcji „Nowego Dziennika”, to niechęć w stosunku do mnie była dosyć duża, bo zbyt duża atencja była redaktora Wierzbiańskiego, który cenił moje prace publicystyczne wcześniejsze, no i te 50 dolarów więcej – to miałem przechłapano, jak to się mówi, już na wstępie. Mało tego, całą karierę swoją publicystyczną zawdzięczam w jakimś stopniu profesorowi Janowi Kottowi, który czytał uważnie to, co ja pisuję w „Przeglądzie Polskim”, to był literacko-społeczny dodatek do „Nowego Dziennika”, i ja tam napisałem taki artykuł obszerny „»Lalka« czytana dzisiaj”, w stulecie bodajże ukazania się „Lalki” Prusa, a profesor Jan Kott onegdaj się skłócił straszliwie w stalinizmie z Marią Dąbrowską o „Lalkę”, przegrawszy dyskusję, bo strasznie napadł na Prusa, że nie marksista i że w ogóle nie z tych pozycji, i Maria Dąbrowska mu odpowiedziała tak, że mu w piętę poszło, no i się zainteresował, kto jest ten od tej „Lalki”. Ja jeszcze przed tym napisałem też nekrolog po śmierci wielkiej aktorki, Ireny Eichlerówny. Tam nie bardzo ludzie wiedzieli, kto to Irena Eichlerówna, ale powiedziałem: „Trzeba uczcić na łamach »Przeglądu Polskiego«”, no i tak się stało, że Jan Kott pisał piękne artykuły o Irenie Eichlerównie, bo parat się recenzjami teatralnymi w latach pięćdziesiątych i wielbił – no, było kogo – no i też się zainteresował i zapragnął mnie poznać. Jak „Nowy Dziennik” się zorientował, że Jan Kott, największy szekspirysta świata, bóg ludzi teatru i historyków literatury, tam, w Stanach Zjednoczonych, chce mnie poznać, no to dostałem 35 dolarów więcej podwyżki za artykuł oraz kim ja jestem, no i wtedy nie można mnie wypuścić do tej Polski, żeby tak szybko nie wracał. No i tak zostałem, prowadziłem ten dział polski w „Nowym Dzienniku”, prowadziłem też dział informacji kulturalnej, bardzo się do tego przykładałem, nie miałem żadnych dni wolnych, w weekendy sprawdzałem, co można polecić czytelnikom „Nowego Dziennika”. To była największa gazeta polska poza Polską, „Nowy Dziennik”, szanowana bardzo, która się ukazywała w dużej większości Stanów Zjednoczonych oraz w części Kanady, ale docierała także i do dalszych [zakątków świata]. Ten dodatek „Przegląd Polski” był na poziomie i właściwie w charakterze przypominał późniejszy dodatek „Plus Minus” do „Rzeczypospolitej”, to było bardzo zbliżone, jeśli chodzi o poziom i zawartość. Julicie Karkowskiej, która była wieloletnim redaktorem, udało się zgromadzić ludzi, Polaków i nie tylko, którzy mieli coś istotnego do powiedzenia i umieli to zrobić na piśmie i utrzymać, mimo że stawki i honoraria tam są po prostu symboliczne i pisze się tak naprawdę ku chwale ojczyzny. No więc to jest moja przygoda z „Nowym Dziennikiem”, później zostałem redaktorem naczelnym „Głosu”, który był miesięcznikiem, a ja przerobiłem go na dwutygodnik i wprowadziłem kolor, tak że pierw-

szą polską gazetą kolorową w Nowym Jorku był właśnie ten mój „Głos” – to był taki biuletyn, który miał za zadanie informować o pracy Centrum Polsko-Słowiańskiego i Unii Kredytowej Polsko-Słowiańskiej w Nowym Jorku, ale ja [go] poszerzyłem i z tego biuletynu zrobiłem też taką gazetę informującą o różnych sprawach potrzebnych Polakom przebywającym [w Ameryce], bo wtedy dużo jeszcze ich przybywało do Stanów Zjednoczonych, oraz później też informującą o wydarzeniach kulturalnych w Nowym Jorku oraz prezentującą ciekawe postaci z różnych powodów – czy to naukowcy polscy w Nowym Jorku, czy artyści polscy, malarze, rzeźbiarze. Później jeszcze wprowadziłem dział historyczny, czyli historia Armii Krajowej, później jeszcze wprowadziłem dział historia nauki polskiej i techniki polskiej, potem jeszcze wprowadziłem jakieś inne działy, tak że ze skromnej gazety, która miała szesnaście stron i miała 3 000 nakładu, doprowadziłem do gazety, która miała trzydzieści cztery strony i 17 000 nakładu, tak że to był mój największy sukces na emigracji. Ale z tymi sukcesami też bywało różnie, bo kiedy prowadziłem dział informacji kulturalnej w „Nowym Dzienniku”, to w pewnym momencie dostałem taki list od czytelniczki: „Szanowny panie redaktorze, ja wprowadzić nigdy nie chodzę na to, co pan poleca, ale dzięki panu wiem, na czym nie byłam”. Podobnie było, jak prowadziłem dział kulturalny w Naszym Radiu, to była najistotniejsza polska rozgłośnia działająca w Nowym Jorku i słyszalna w pięciu sąsiednich stanach, mianowicie też jak informowałem, to słuchacze dzwonili: „Panie kochany, kogo obchodzi rocznica śmierci Chopina? Teściowa przyjechała, na lotnisku chcemy jej puścić piosenkę »Mydełko Fa« albo »Dolary, Dolary« – to wtedy był taki przebój – daj pan spokój z tym Chopinem”, a ja ambitnie, proszę pana, mający kontakty z paryżanami-chopinistami, nawiązałem kontakt z francuskim radiem, bo tam było takie całonocne czuwanie pod mieszkaniem Chopina na placu Vendôme i co chwila się łączyłem, i oni byli... uważałem, że Boże kochany, dokonuję jakiegoś nadzwyczajnego takiego pomostu pomiędzy tym Nowym Jorkiem a Paryżem w okrągłą rocznicę śmierci Chopina, no i słyszę, że teściowa przyjeżdża, kogo to obchodzi. Potem pamiętam, odwiedzałem wielokrotnie paryską „Kulturę” – księcia redaktora, a później brata księcia redaktora, Henryka, oraz Zofię Hertz i też sporządzałem rozmowy z nimi, nagrywałem, tak że to nawet w odcinkach [się ukazywało]. „Panie kochany, przecież ten Giedroyc to Żyd. Józef Łopuszański przyjechał, w Chicago jest. Niech pan go szuka i chcemy z nim rozmowy, ten od krzyża”. No więc takie były moje przygody między innymi i trochę była taka praca jak po grudzie, bo w Polsce się tego nie wie, ale mówiąc wprost, poziom umysłowy i duchowy polonii amerykańskiej jest niezbyt wysublimowany i niezbyt wysoki. Jeszcze z tym [poziomem] duchowym to może trochę lepiej, bo jest to wierząca polonia, natomiast nie spotyka się Polaków na najważniejszych wydarzeniach kulturalnych w metropolii świata, stolicy świata, jaką jest Nowy Jork. Nawet jeśli są występy polskich śpiewaków w Operze Metropolitan, to też właściwie tych Polaków jest bardzo niewiele. Kiedy był Przegląd Filmów Polskich, zorganizowany wspólnie przez Lincoln Center, i billboardy były tak olbrzymie, reklamujące siedemdziesiąt pięć lat kinematografii polskiej, że zastąpiły Metropolitan Opera, sąsiednią filharmonię i teatr baletowy, to się spodziewałem, że będzie tłum po prostu Polaków na widowni w prestiżowym kinie w tym centrum. Japończycy, Rosjanie, Żydzi, Amerykanie, Polaków jak na lekarstwo, tak że tak to wygląda – są to w olbrzymiej części ludzie, którzy pochodzą z prowincji polskiej, którzy w Polsce nie chodzili do kina, do teatru i nie chodzą tam. Walczyłem ileś lat o to, żeby wprowadzić Moniuszkę do repertuaru Metropolitan Opera House. Nigdy nie był grany Moniuszko, grany jest Dvořák, Smetana, inni kompozytorzy słowiańscy, nigdy nie Moniuszko i nigdy nie Szymanowski. W pewnym momencie, tak jak to wielu Polaków, zaczęłem podejrzewać jakiś antypolski spisek, prawda, ponieważ udziałowcami finansowymi Metropolitan Opera House są starsi bracia w wierze, to może oni. Okazuje się, że nic takiego – po prostu powiedziano: „Wiemy, skoro nie widzimy Polaków na widowni Metropolitan Opera House, to jeśli to wystawimy, bo nie raz z rozdzielnika trzeba, że jak słowiańskie opery, no to w końcu jakąś polską trzeba też, no to Moniuszko, no ale kto

przyjdzie? Starczy publiczności – wyliczyli sobie na cztery przedstawienia – my wywalimy mnóstwo forsy, to są opery wieloobsadowe, trzeba będzie sprowadzić śpiewaków, a jeszcze powinny być po polsku, no bo w oryginalnym języku, to jest dodatkowa trudność, i co, cztery przedstawienia pójdą?”. No i co miałem zrobić? Później jak było stulecie urodzin Mickiewicza, walczyłem o to, żeby wskrzesić na Columbia University – to bardzo prestiżowa uczelnia, jedna z tych najlepszych czternastu w Stanach Zjednoczonych o światowym znaczeniu – Katedrę Literatury Polskiej, która istniała tam po wojnie, założona między innymi przez Czesława Miłosza, który zaraz po wojnie był radcą kulturalnym Ambasady Polskiej w Waszyngtonie i który to Miłosz tam sprowadził swojego polonistę, znakomitego profesora Manfreda Kridla. Ta katedra była w dużej części finansowana przez władze polskie, czyli te takie stalinowskie. Po pięćdziesiątym szóstym roku się to zmieniło, władze polskie uznały, że skoro rozkręciły tę katedrę, ona jest, działa, to polonia powinna ją przejąć. Polonia stwierdziła, że skoro tę katedrę utworzyły władze polskie komunistyczne, to ona nie ma najmniejszego zamiaru w tym partycypować, i jeszcze oskarżyła profesora Manfreda Kridla, niesłusznie zupełnie, że to nie Polak, tylko starszy brat w wierze, to tym bardziej nie będzie partycypować, więc Katedra im. Adama Mickiewicza przestała istnieć, zostało 56 000 polskich książek, woluminów, które zostały wcielone do słowianistyki, a właściwie do rusycystyki, dlatego że teraz literatura polska jest wykładana, o ile ktoś sobie tego życzy, jako literatura poboczna i kultura po literaturze rosyjskiej, no to trochę mnie jako polonistę trafiał szlag i próbowałem to rozdzielić. To się nie udało. Najpierw jak pisałem o tym artykule, to oskarżany byłem, wiadomo, redaktorem naczelnym się jest krótko, szukam dla siebie synekury, ale kiedy zacząłem udowadniać, że profesor Witkowska od romantyzmu przyjedzie, profesor Targalski od historii i tam jeszcze następne nazwisko, że tutaj jestem w nieustającym kontakcie z Polską Akademią Nauk, niewiele to podziałało, ale trochę Unia sypnęła pieniędzy, ale za mało, żeby taka katedra powstała. Czułem się przegrany, żeby było pikantniej, dowadywałem się od profesorów z tejże Columbii, że tak: Rumunia jak odzyskała niepodległość, natychmiast dała pieniądze na utworzenie Katedry Literatury Rumuńskiej na Columbii. Proszę panów, Serbia, biedny, pasterski kraj, jak się stał wolny, odłączył się, natychmiast utworzył. Ukraina – mają katedrę, my nie. My nie. Powstały studia polskie, bo ja już wiedziałem, że jak przegrywam katedrę, zresztą trzeba iść z duchem czasu, żeby na tej Columbia University utworzyć studia polskie specjalizujące Amerykanów czy w ogóle ludzi z całego świata, którzy chcą się wyspecjalizować i być znawcami Polski, czyli historia, geografia, literatura, Polska współczesna, polityka, bardzo szeroko pojęta Polska. Nie. Niby się to nazywa studia polskie, pani jest, która wyklada co innego, a przy okazji przemycia informacje o Polsce. No to znów zrobiłem szum, no to się okazało, że nie ma zainteresowania, Polacy się na takie studia nie pchają, bo nie ma perspektyw. To są moje przegrane, jeśli chodzi o moją robotę publicystyczną i redakcyjną, no a wygrane jest to, że stałem się szanowanym publicystą, czytany, ale podkreślam słowo „szanowanym”, bo na tym mi zależało, mam na to bardzo liczne dowody i czuję się z tego powodu szczęśliwy i spełniony. Trochę to jest niebezpieczne, dlatego że część czytelników ogląda [się] na moje zdanie, na to, jak ja widzę, jak postrzegam pewne zjawiska, więc niekiedy muszę bardzo wyważać, co piszę. O dziwo z największym uznaniem spotkały się moje takie cykle wspomnieniowe – pierwszy cykl nazywał się „Mieszkańcy mojej pamięci”, gdzie opisałem ludzi, którym coś zawdzięczam, którzy mnie budowali, których zapamiętałem z różnych powodów, czyli między innymi nauczycieli ze szkół, potem profesorów z uniwersytetu, profesorów ze szkoły teatralnej, i to nagle się okazało taką sensacją, no więc czekano, że będzie to dopełniane, to napisałem drugi taki cykl wspomnieniowy, nazywało się to „Okna pełne nadziei”, kiedy opisywałem zapamiętane widoki z okien – już nie tylko w Polsce, ale głównie w Polsce, no bo większą część życia spędziłem tutaj. I to było też ciekawe, bo opisywałem ludzi, do których te okna należały, których przez te okna widzę, a jednocześnie w tych szybach odbijam się ja sam, chociaż o sobie nie pisałem. To bardzo ciekawe

doświadczenie było takie literackie i to się też niebywale podobało, gdzie już nie tylko opisywałem ludzi, ale sytuacje z mieszkań zapamiętane, jakieś obrazy, jakieś wizyjne rzeczy, no i potem jak to zakończyłem, to znów było oczekiwanie i wtedy postanowiłem prowadzić coś w rodzaju takiego dziennika współczesnego i nazwałem to „Kartkami z przemijania”, sugerując się „Niebieskimi kartkami” Adolfa Rudnickiego, pisarza niesłusznie nieco zapomnianego, który celował w to, żeby różne te wydarzenia i wspomnienia zapisywać jak najkrócej, epigramatami. Trochę się zainspirowałem tą jego formą, no i się okazało, że to ma powodzenie u czytelników. Są tacy czytelnicy, którzy wycinają wszystko, co ja piszę i sobie tam składają, i na początku myślałem, że jak oni mi to mówią przy różnych spotkaniach, to jest to taki komplement po prostu, żeby było przyjemnie, ale parę razy trafiłem do takich domów i nagle otwierają całe szuflady z wycinkami, i nie wierzyłem, że to chodzi o mnie, to naprawdę, do tej pory nie wierzę. Bywało tak, że jak napisałem o swojej mamie i dałem jej takie zdjęcie, które zrobił Edward Hartwig, w kapeluszu, a mama była dość piękną kobietą, to była to sensacja i widywałem u czytelników, że sobie wycięli to zdjęcie i mają, więc to są takie moje szczęśliwe doznania publicysty po tamtej stronie wielkiej wody – opowiadam, żeby zrównoważyć te gorzkie doświadczenia. Są tacy czytelnicy po prostu uważni. Te „Kartki z przemijania” to jest też taki rodzaj dziennika, trochę inny niż obiecałem Janowi Pawłowi II, który mnie zaprosił razem z moim kolegą na kolację taką prywatną, jak się dowiedział, co ja robię, bo kiedy pracowałem jako reporter czy fotoreporter dla „Solidarności”, przeplatając tę pracę z pracą reżyserską, to w osiemdziesiątym ósmym roku w kwietniu pojechałem do Nowej Huty, bo tam doszło do strajku, w wyniku którego pobito bardzo wiele osób, w tym kobiet, rząd polski, prowadzony przez Wojciecha Jaruzelskiego, który był także premierem, zaprzeczył, że to są po prostu, jak byśmy dzisiaj powiedzieli fake news, nic takiego nie miało miejsca, no to ja w pociąg do Huty i za sprawą Anny, już Liberackiej, dotarłem nie do wszystkich, tam pobitych było bodajże sześćdziesiąt kilka osób, niecałe siedemdziesiąt, ja dotarłem do czterdziestu siedmiu i sfotografowałem siniaki, także sfotografowałem pobite kobiety, i puściłem swoimi kanałami ten materiał w Polsce, a jadąc do Rzymu, zabrałem go, żeby go puścić przez zaprzyjaźnioną redakcję „L’Osservatore Romano”, co natychmiast się stało, ale te materiały też doszły do papieża. Papież się zainteresował, kim jest ten człowiek, no to kolega, który prowadził to „L’Osservatore Romano” powiedział – reżyser, intelektualista, polonista i tak dalej, no i papież powiedział, że to jest dla niego interesujące, jak usłyszał, że reżyser, będzie chciał mnie poznać i była mowa, że na śniadanie przyjdziemy, ale to śniadanie się odwlekało, dlatego że trzeba było przygotować biskupów, którzy jechali na tysiąclecie chrztu Rosji. W pewnym momencie przyszło zapytanie, czy ja bym nie przyszedł na kolację, bo będzie więcej czasu, to ja mała nie zemdląłem z wrażenia, ale poszliśmy na tę kolację. Skracając historię, bo to niesłychanie wzruszające, jedno z najważniejszych wydarzeń w moim życiu, w pewnym momencie jak papież zaczął mnie wypytywać o sprawy prywatne, o przeszłość, o rodziców, o bardzo takie intymne szczegóły, no to kolega się pożegnał i ja zostałem z nim sam na sam. Pytał mnie papież, czy ja się interesuję jego sztukami, dlaczego nie chcę ich wystawiać, no to powiedziałem, że to raczej słuchowiska radiowe albo widowiska telewizyjne, no i ciągnęliśmy temat, ale znów żeby skrócić, papież mi na końcu powiedział: „Synu, następnym razem jak przyjedziesz do mnie, czy na śniadanie czy na kolację, to musisz przyjść z dziennikiem, bo ty masz tak ciekawe i wielopłaszczyznowe życie, że to nie może tak umknąć i się rozwiać w niepamięci. Ja sobie życzę, że jak będziemy tutaj przy winie – to było Orvieto Classico – to będziemy nad twoimi dziennikami [dyskutować]”. No i ja mu to obiecałem. Zacząłem prowadzić dziennik, kiedy przyjechałem następnego roku do Ameryki, ale zostałem napadnięty przez Murzynów, ledwo uszedłem z życiem. Szukano pieniędzy, narkotyków, więc miałem porzucone ubranie taką brzytwą chyba czy jakimś ostrzem, no i zabrano mi torbę, w której był dziennik, zapis z pierwszego roku, tak że uznałem, że to jest znak, że chyba nie ta droga, ale kiedy papież umarł, to tam spotkaliśmy się, taka

grupa publicystów u profesor Grażyny Drabik, wykładowczyni literatury na jednym z uniwersytetów, i każdy z nas obiecał, co zrobi, co obiecuje, żeby upamiętnić jakby czy pokazać swój kontakt duchowy z papieżem. Ja wtedy przy Elżbiecie Czyżewskiej dostałem jakiegoś takiego olśnienia, że w takim razie ja [napiszę] jeszcze raz ten dziennik. Powiedziałem to i natychmiast się rzuciła redaktorka „Kuriera Plus”: „To ja to biorę w odcinkach”. No i to są te „Kartki z przemijania”. Rzeczywiście muszę powiedzieć, aż się boję to mówić, ale jestem jakimś szczęśliwym publicystą, spełnionym człowiekiem, aczkolwiek często mam pytania, dlaczego nie podjąłem pracy reżyserskiej w Stanach Zjednoczonych – po pierwsze dlatego, że tam jest inny teatr, inna publiczność, a po drugie, to, co ją interesuje, nie bardzo interesuje mnie, po trzecie, z różnych powodów organizacyjnych, natomiast w pewnym momencie zorientowałem się, że będąc publicystą, mówię bezpośrednio, nie za pośrednictwem sceny i aktorów, to, co chcę powiedzieć, że to jest łatwiejsze i wygodniejsze. Mam jeszcze jedno pytanie, chyba że pan jeszcze coś będzie chciał powiedzieć od siebie, takie aż prawie produkcyjne: plany na przyszłość. Nad czym pan myśli? Ja już zamierzałem wracać do Polski, bo już tęsknię. Wszedłem w wiek emerytalny i to jakby stało się możliwe. Kiedy postanowiłem, to wówczas dostałem z Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku – oficjalna nazwa to jest Instytut Piłsudskiego w Ameryce, to jest instytucja amerykańska – propozycję, żeby przyjść właśnie do opracowywania dokumentów, bo chodziło o to, żeby znaleźć człowieka, który jakoś umiałby to robić, i tam jest jeszcze jedna pani, Joanna Zielińska, która też to robi, ale jedna osoba to było za mało, no i obawiałem się, że ja nie będę umiał tego robić, ale historią się pasjonowałem zawsze, no i jak zacząłem na próbę czytać te dokumenty, to się zacząłem tak wciągać, że w pewnym momencie pomyślałem sobie: „To doczytam, to sprawdzę”, bo wiele dokumentów było takich z adiutantury generalnego wodza, a przed tym z archiwum marszałka Piłsudskiego, które pokazywały znane wydarzenia historyczne od innej strony, albo od strony kulisy, albo od tego, czego się nie wie, i ja niesłychanie w to wchodziłem. Zacząłem to robić i opracowałem część później adiutantury generalnego wodza, później wszystkie akta z archiwum prywatnego generała Rozwadowskiego i część akt z Komisji Likwidacyjnej Generała Żeligowskiego, to do tej pory zrobiłem, teraz się upominam o powstania śląskie, bo z pewnych względów mnie to interesuje i ciekaw jestem, czy dostanę, więc jakby ten Instytut Piłsudskiego i ciekawiąca mnie praca zatrzymały mnie, natomiast mam mieszkanie w Warszawie na Starych Bielaniach, które na mnie czeka, książki tęsknią i szarzeją z tęsknoty, ale mam również wielki księgozbiór na Manhattanie i piękne widoki z mieszkania i jakoś tak tam się cieszę, że jestem w Nowym Jorku, że tak mi się poszczęściło, bo tyle osób chciałoby być w Nowym Jorku i ta atmosfera tej szczęśliwości, o której powiedziałem wcześniej, taka jakaś inna koncepcja życia, jako pewnej przygody jakoś mnie wciąga i łatwiej mi się żyje, no a tu z kolei, kiedy przyjeżdżam do Warszawy, to ożywają wspomnienia, budzi się żal, że w tych oknach opisanych już nie ma ludzi, za którymi tęsknię i których chciałbym dalsze losy opisać, ale wszystko mnie interesuje, każda przetrwała kamienica, każda brama, no i wie pan, też cmentarze. Już niestety zrobiło się tak, że mam więcej bliskich po tamtej stronie Styksu, a poza tym ja zawsze bardzo lubiłem Warszawę, bardzo mnie obchodziła i jak siebie sam określam, ja jestem taką cegłą warszawską w Nowym Jorku. Może istotna informacja jest taka, że jako reżyser zmieniałem miejsce pracy i czuję się takim Polakiem, który po prostu pracuje w Nowym Jorku, takim Polakiem oddelegowanym do określonej czynności, a jak się to skończy, to wrócę. Trochę mnie zatrzymują czytelnicy i powiem nieskromnie, bo jak już parę razy zasugerowałem, że wracam, to rzucają się wręcz na ulicy, żeby tego nie robił, a przecież mogę pisać stąd też.